

LEO LIPSKI

DZIEŃ I NOC

(OPOWIADANIA)

INSTYTUT

PARYŻ

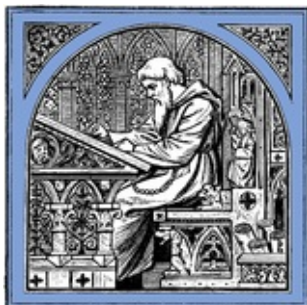


LITERACKI

1957

Dzień i noc (opowiadania)

Leon Lipschütz



Paryż, 1957

Pobrano z Wikizródeł dnia 18.07.2018

LEO LIPSKI

DZIEŃ I NOC
(OPOWIADANIA)

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1957

BIBLIOTEKA „KULTURY”
Tom XVI

IMPRIME EN FRANCE

Wydawca: Edition et Librairie « LIBELLA »,

12, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris (4°).

SPIS RZECZY

Dzień i noc _____ 11

Waadi _____ 41

Powrót _____ 51

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 15 JANVIER 1957
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD,
24, RUE STEPHENSON,
PARIS-18°.

NAGRODA LITERACKA „KULTURY”
ZA ROK 1955

Wszystkie prawa przedruku zastrzeżone.
Copyright by „Kultura”, 1957.



Tekst udostępniony jest na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0](#).

Dodatkowe informacje o autorach i źródle znajdują się na [stronie dyskusji](#).

DZIEŃ I NOC

(NA OTWARCIE KANAŁU WOŁGA-DON)

*„... Niech będzie pochwalony
obywatel Jezus Chrystus”.*

(Z listu górnika polskiego we
Francji do konsulatu w X.)

Zostawcie mnie wszyscy w spokoju. Razem z waszymi obłąkaniami i wściekliznami. Pozwólcie mi nachylić głowę, pomału, jak nad strumieniem, który płynie. On odbije mój zmienny obraz wraz z majakami sprzed wielu lat. Pozwólcie mi go na chwilę zobaczyć.

Więc nie zbudowaliśmy Wołgostroju. W każdym razie nie nasza to wina, że na wiosnę, wraz z tajaniem lodów, rozleciał się i odpłynął betonowy port. Nie my budowaliśmy go. Naprawdę. Ale za to męczyliśmy się bardzo. Zwłaszcza w zimie.

W latrynach paliły się stuświecowe żarówki, ale one nie grzały. Rano w czasie pobudki, było jeszcze ciemno. I niewiarygodnie zimno poza barakiem. Wyjść głodnym na mróz, to jest straszna próba. I nieodzianym. To wszystko już znacie i z tego będziecie zaraz rzygać. Ale zaczekajcie.

Przypominam sobie, przed wojną, prowadzili policjanci człowieka i bili go po pysku. Nie mogłem od tego wzroku oderwać. A za nimi szedł tłumek. I ja musiałem patrzeć. Może wy też znajdziecie coś takiego na co będziecie musieli patrzeć.

Byłem pomocnikiem lekarza i dostawałem czasem pensję: 50 rubli. To nie było mało. Kończyłem dyżur nocny. Telefonowałem do karceru, że za 15 minut przyjdę. Kuchnie nie miały telefonu. Nie mogłem telefonować, że przyjdę zjeść, niby próbować, czy dobre. Blakła zmora, że któraś z kobiet w nocy zechce rodzić. Ja o tym pojęcia nie miałem. Mówił Grisza:

— Ty tylko tam pójdziesz. One same między sobą.

Wiedziałem, co one same, między sobą, ale to było co innego.

Elektrownia żarzyła się białym światłem. Uzbegy mówili „Faro“.

To znaczyło „Faraon“. I bali się. Obwieszona spawaczami wyglądała z daleka jak brylant. Już dwie turbiny szły ale tego nie było słychać. Stuswiecowe żarówki, przyrządy elektryczne w kuchni. Podnosiły się powoli mgły i Ona, czworokątna, olbrzymia, bez okien, jednym ramieniem obejmująca Wołgę, unosiła się w górę i opadała, wśród błysków elektrosprawaczy. Uzbegy mruzcili:

— Faro.

Mówili po tym tak cicho. że można to było wziąć za złudzenie:

— On.

Szliśmy z leśnego obozu, 60 kilometrów dziennie. Poprzez zmęczenie ciężkie, miazdzące, przebijała ciekawość.

Bezustanny, zbliżający się grzmot. Złudzenie ze zmęczenia? Weszliśmy do miasta, gdzie należało krzyczeć, gdy się coś miało do powiedzenia. Mieszkańcy byli przyzwyczajeni. Porozumiewali się na migi. Pracowali w niewidocznej, podziemnej fabryce motorów do samolotów. W każdej chwili próbowano 700. Pani żywotów.

Dwukrotny sygnał świetlny. Pod kuchnią awantura. Trzy zupy na ziemi. Gwar, jak w ulu przed wylotem. Na mojej pryczy siedzi mały krawiec z K. Patrzy w jeden punkt i mówi coś do siebie. Grisza jest chory. Przyjdzie dopiero po południu, gdy będzie więcej pracy. Nie będę spał w dzień ani w nocy. Z wielu powodów. Trzy sygnały świetlne. Mały krawiec siedzi na pryczy. Boi się zimna. Najdzielniejsi płaczą gdy wychodzą na robotę. Łzy nie kapią. Zamarzają zaraz. Ten mały nigdy. Ale boi się wyjść. Dopiero brygadier musi go wyganiać. Niektórzy jeszcze śpią, mimo że chodzą. Przedłużają sen do wyjścia. To nic wam nie pomoże, braciszku, ja wiem. Obudzi was wiatr znad Wołgi z którym mówiłem w nocy. Obudzicie się ze szronem na rzesach. Biada tym, co nie jedzą zupy.

15 minut na karcer. Bieg kilometrowy. Nastawienie wewnętrzne. Tak, jakby się we mnie coś kurczyło. Twardniało i uczułało się.

Pytam. Stan: 76 ludzi. Widziałem ich, z wyjątkami, wczoraj, przedwczoraj itd. Na korytarzu stoją szeregiem, pod ścianą, na spoczynku. Naczelnik karceru:

— Zobaczycie.

— Gdzie?

— W celi.

Potakuję.

W ciągu piętnastu minut mam zobaczyć, jak jest ze

zdrowiem tych ludzi. Miesiąc w spec-kolonie, to rok obozu. Tak mówią. I trzeba uważać, żeby nie wpaść. To nie jest takie proste, kiedy wszyscy cherlają, jestem napięty. I nagle spada na mnie przeraźliwy spokój. Nie słyszę co mówi dalej naczelnik, rusza tylko wargami, jak ryba, widzę i słyszę tylko 76, tylko.

— No co, dzieci? Mówcie.

Zaczynam pierwszą twarz, chłopska, znośnie blada.

druga: — nie, naciągacz;

trzecia, pierwsza woła: — gorączka, biorę za puls — nie, równocześnie widzę podniesione spodnie szóstej, flegmona: — wystąp;

czwarta, piąta, siódma;

siódma: — jak ja cię bracie dostanę;

ósma;

pierwsza histerycznie: — gorączka, pakuję termometr; dziewiąta;

siódma mówi — ja mam tylko trzy dni;

dziesiąta, jedenasta, dwunasta, trzynasta, czternasta;

piętnasta — nóż, uśmiecham się czarująco, pomaga, nie zawsze;

pierwsza robi podejrzane ruchy termometrem, daję znak że widzę;

szesnasta;

siedemnasta, przekonywujące, goły tyłek, skrzepły strumyczek krwi, znany hemoroidnik;

osiemnasta, dziewiętnasta;

dwudziesta, zostawić, chłopak biały, puls 130: — wystąpić;

nagle siedemnasta, obróć się, pokaż pysk, więcej nie trzeba, pokaż gardło, krwotok, tbc, żołądek, nie wiem, dlaczego pokazałeś tyłek..., bo..., bo..., telefon do szpitala, położyć się;

dwudziesta pierwsza, dwudziesta druga;
dwudziesta trzecia: noga otwarta w bardzo nietypowym
miejscu, musiał całą noc trzeć, wystąpił;
pierwsza, biorę termometr, normalna;
dwudziesta czwarta;
dwudziesta piąta, złodziej moskiewski, nigdy mi się nie
podał, nic nie mówi, podgorączkowy rano, wystąpić, NO
WY...;
siedemnasta, całą noc z krwotokiem, a może nie, zmyliła
mnie świeża krew;
dwudziesta szósta, dwudziesta siódma, dwudziesta
dziewiąta;
trzydziesta, trzydziesta pierwsza: zgarbiony, symulacja,
połóż się, twardość brzucha, lepiej nie, wystąpił;
trzydziesta druga, trzydziesta trzecia;
trzydziesta czwarta, milczy, ale pelagra, krańcowe
opuszczenie się, nie może symulować tego, już czas... wystąpił;
z lekkim niepokojem patrzę ilu jest już zwolnionych;
trzydziesta piąta, trzydziesta szósta;
trzydziesta siódma: brzuch, jęczy, połóż się, macam brzuch,
twardy, stosuje trick, łechtnięcie, brzuch miękki, uśmiechnął
się typ, dziś idzie;
trzydziesta ósma, trzydziesta dziewiąta;
uważać, uważać;
czterdziesta, czterdziesta pierwsza;
czterdziesta druga: olbrzymi, rzuca się na mnie, gryzie
podeszwę, kaftan, prawdopodobnie symulant, podnoszę się;
czterdziesta trzecia;
czterdziesta czwarta: mijam nieruchome źrenice, jeszcze
raz, nieruchome, zakrywam, odkrywam, nieruchome, wystąpił;

czterdziesta piąta, czterdziesta szósta;
czterdziesta siódma: opuchnięte nogi jak ciasto, wyżej też,
występ...

W końcu dojechałem do siedemdziesiątej czwartej.

O jednym wiedziałem, że leży.

— A drugi?

Siedzi na dolnej pryczy. Członek przybity grubym
gwoździem do nar. Wcale nie udaje, że boli. Krwi nie ma. Idę
do telefonu.

— Grisza, będziesz musiał wstać. Do karceru. Jeden gość
przybił sobie tego do nar.

Podpisuję. Ci których zwolniłem idą do lekarza pod
konwojem. Tamten w kaftanie na psychiatryczny. Elektryczno-
dębowe drzwi otwierają się. W tej chwili cztery sygnały
światlne. Do pracy.

Jeszcze 10 minut. Zwalam się na śnieg. Całe zmęczenie
skoczyło na mnie jak pies i przygniotło mnie. Teraz jestem
całkiem bezsilny, wypluty. Oni by chcieli żebym zwolnił cały
obóz, 70 tysięcy ludzi. Chcieliby mnie dostać do spec-kolony.
Nie. Chcieliby, aby każdy z osobna był jakimś cudem
zwolniony. Przynajmniej na dziś. Nie troszczą się o resztę.
Podnoszę się ze śniegu. Tutaj jest nienaruszony, błyszczący jak
jedwab. O sto metrów dalej są już druty kolczaste i wyżki.
Słysząc z daleka orkiestrę. Orkiestra gra. Na takim zimnie. No
— no. Poprawiam kitel, robię kilometr i jeszcze pół.

Defilada. Na podium stoję ja, jako przedstawiciel sanaczaści,
zastępca komendanta obozu, ktoś z rachunkowości, czy ja
wiem jak się to nazywa. Orkiestra gra u szerokiego wejścia.
Kolumny formują się czwórkami. Jest siódma godzina.
Wzniesienie dla orkiestry jest oświetlone. Zaczyna się.

Od Wani pożyczam walonki, żeby nie marznąć w nogi. To trwa, przemarsz 30 tysięcy ludzi. Idą, idą. Stachanowcy, łamagi, spryciarze, symulanci. Formują się jeszcze w mroku, wypełniają w jaskrawe światło orkiestry, potem giną w тумanie. Zaczyna sypać śnieg. Fufajki podarte, buty z opon, łapcie. Krzyki formujących. Wołania. Naczelnicy brygad. Cofanie się, potem: Naprzód. Palce owinięte szmatami. I tak zgrabieją braciszkwowie. Mam policzek zmarznięty. 40 stopni. Wiatr i śnieg. Ten policzek od strony Wołgi. Trę. Im leją się łyzy. Tym najdzielniejszym z wyjątkiem małego krawca. Idą pod wiatr, tworzy się im lód na twarzy, szron na powiekach; oddychają.

Nie potrzeba bojców. Wokoło jest wielkie kolisko wyżek i drutów. Kilkadziesiąt kilometrów. Nie uciekną, bo dokąd? Choćby znali Rosję jak własne palce, to i tak nie. Jest to tak oczywiste, że nawet nie próbują. Chyba wariaci. Nawet kierownik żarcia szpitala. Ma poza obozem ładne tysiączki. Chodzi jak baryń. Ale on też nie.

Odrywa się od brygady jakaś twarz i prosto do mnie. Ja mam jeszcze w tej ostatniej minucie prawo łaski. Ci, którzy w nocy zachorowali, mieli czas. Ci, którzy w czasie wyjścia — Wania. Ci, którzy w ostatnim momencie — ja. Twarz zakryta, owinięta po oczy, tylko oczy błyszczą. Staje. Nic nie mówi. Oczy błyszczą. Biorę za rękę. Puls niewyczuwalny na mrozie. Widzę młode czoło, żółte, Chińczyk? Odchylam dolne powieki: żółtaczka? W końcu łapię. Drobną nitczką szamoce się pod skórą, szybko, zanika, szybko. Zostawić. Siada na podium, nogi zwisają.

— U kogo byłeś wczoraj?

— Aleksander Aleksandrowicz — odpowiada cicho.

Tymczasem mój krawiec przeszedł. Aleksander mówi do

mnie przed rozpoczęciem przyjęcia:

— Ja zwalniam tylko co drugiego, jak jest chory. Nie mogę więcej.

— To obciążacie szpital.

— Niech oni się martwią.

Chory opowiada mi, że mówił mu Aleksander.

— Ty, bratku, masz zdaje się zapalenie płuc. Ale cóż robić? Poprzedni miał złamaną nogę. Przyjdź jutro.

I zapisuje kamforę, środek wykrztuśny. Wtedy ja do tego chorego:

— Idź do Olgi Pietrownej.

Olga to jest 20-letnia smarkula. Ona tu jest naczelnikiem. Ale.

Defilada. Znów stachanowcy. Jeśli mieli walonki, przehandlowali na jedzenie, mają onuce. Onuce, to wspaniałe odkrycie.

Gdy szedłem z brygadami rąbać drzewo w leśnym obozie ratowały mnie onuce. Osiem kilometrów w jedną stronę. Przez dwa miesiące nie widziałem, jak wygląda prycza na której śpię. Wychodziłem przed świtem, wracałem w nocy. Po omacku. Pomału przychodziły piły, siekiery, miseczki, lampki. Było wtedy lato i tyle borówek. Na grzybach się nie znałem. Zdarzały się maliny. Dopóki nie nadeszły piły miałem spokój. Wybierałem sobie polanę w lesie i kładłem się na ziemię. Rzucałem liście do strumyka. Tak uroczo. Zapominało się. Świerszcze. Bzyki unoszące się nad ziemią. Potem ciemniejący las. Hubka. Rozpalałem ognisko i przypiekałem chleb. Zaczęły przychodzić piły. I siekiery. Zaczęły się krzyki, wołania.

Przechodzi jedna brygada Uzbeków. Wymierają masami. Na gruźlicę w różnych postaciach. Całe osiedle inwalidów w

naszym obozie. Plątając się tam można zarobić na chleb. Sami h o m o. Ooo, salute Dżafer. Nie płacz. Nie gniewam się. Z tobą to było. Bandażowałem ci wrzód i ty mnie pocałowałaś. I chciałeś. Przeszli, utonęli w zadymce. Orkiestra gra. Nie wiem jak, przecież palce.

Elektrownia szarzeje. Czasem nikt nie widać w śniegu. Ciągłe nowe kolumny. Już nie widać ludzi, tylko śnieg i poruszającą się masę. Jest mi zimno, zimno. Myśli mi zamarzają. Stoję, stoję. I stoję. Nowe kolumny. I jeszcze. Idą prosto na mnie, idą przeze mnie. Widzę tylko ich nieogolone wklęsłe twarze. Próbuje ich zatrzymać. Ale oni nie spostrzegają mnie. Idą tak, jakby mnie nie było. Widzę ich, jak umierają.

Zamknęły się olbrzymie wrota. Uciekam do kuchni. Do pierwszej z brzegu. Przez pięć minut nie mogę odtajać. Kapie ze mnie. Potem kosztuję i kosztuję. To też należy do moich obowiązków. Kosztuję pierwszy kocioł, drugi, stachanowski, czwarty. Podpisuję, że się zgadza ze wzorami wystawionymi w witrynie. Potem druga kuchnia, czwarta, w piątej oglądam tylko.

Raz mi dali tu pudełko konserw. Myśleli, że jestem pies, że będę bruździł. Ale już od tego czasu nic nie dali, bo nie jestem pies. Niedołęga jestem. Tylko dają trochę chleba, czasem. A nuż, myślą? Tymczasem idę się golić.

Fryzjer jest dobrze zaopatrzony. Poznają rzeczy, które są od nas. Wazelina, środki dezynfekcyjne. U fryzjera jest dziesięć krzesel. Czysto wymalowane. Białe chałaty. Flakoniki z których pachnie. Lustra. Naśladuje, stara się. Dla mnie jest woda kolońska, dobre mydło.

Każdy może iść do fryzjera. Tylko nie wielu ma na to siły, ochotę. Inwalidzi, którzy by tu ciągle siedzieli, bo jest

przyjemnie, mają wyznaczone godziny, zresztą nie częste. Więc odprężenie zupełne. Tacy sami tu pracują, jak na wolności. Gaduły. Tam na wolności gołą przeważnie kobiety, a tu nie. Więc gadają. A że on przyjdzie, bo ma czyrak na tyłku. Przyjąć oddzielnie. Szef mówi, że potrzebuje dla lepszych gości lanoliny. Zwłaszcza dla naczelnika policji obozowej. Były prokurator moskiewski. Mam dziś z nim spotkanie. Nie lubię go. A że czterech nurków zostało przygniecionych do siatek i że ich próbowali ratować trzy dni, ale w końcu dali spokój. Musieliby zatrzymać elektrownię. Potem, że przyszły nowe maszyny do odmrażania ziemi, ale ich jeszcze nie wyładowano. Stoją na torach i rdzewieją. Aha, bo nie ma do nich przewodów, czy tam czegoś. Że teraz będą przywozili betonowe kafle do wykładania kanału. I że i że.

Próbuję trochę spać. Ale budzi mnie woda kolońska. Biegnę do ambulatorium. O 9.30 przyjęcia. Sekretarz jest przy pracy. Nazywa się Buehler i mówi po niemiecku. Naturalnie 58-my paragraf, jest młody, porusza się z dziwnym wdziękiem ciężko chorych na serce. Ma ładne dłonie. Pytam o Griszę. Jest u naczelniczki, 20-letniej smarkuli. Referuje sprawę tego przybitego członka.

Grisza to jest czterdziestoletni człowiek z kołchozu. Zdefraudował coś. Skazali go na trzy lata. Powrócił, znów zdefraudował. Skazali na pięć lat. Tu, w obozie, nauczył się felczerstwa. Zresztą podczas wojny był sanitariuszem. Dużo wie. Na łysinę to najlepiej zgolić głowę, a potem smarować jodyną. Podobno skutkuje.

Więc z tym członkiem. Wychodzi Olga Pietrowna, za nią Grisza. Olga ma niebieskie, skośne oczy, nieładny nos. Zgrabna. Miłe łydki i kolana. Uśmiechem całą bandę trzyma za

pysk. Siedemdziesiąt tysięcy. Jest taktowna i opanowana. Dobiera dobrze ludzi. Stanowcza i mądra. I przy tym dobra. Jak powie: — Nie, to tak jakby inny powiedział: — Tak.

Nie było mi się łatwo dostać do ambulatorium. Musiałem mieć zatwierdzenie naczelnika obozu. Nie wiadomo dlaczego spodobałem się jej. Wiedziałem, że będę przyjęty. Poddawała mnie z uśmiezkiem egzaminowi. Gapiła się na mnie, wpatrywała, nie spuszczała oczu, ukośnych, niebieskich. Siedziała w skórzanym fotelu, ja na krześle. Oddzielało nas biurko. No i to, że ona była „wolna“. Dawkowanie pantoponu. Objawy zapalenia płuc itd. A potem z małym przejściem:

— Zagwizdaj jakieś wasze szlagiery. — Znieruchomiałem, jak owad. — No, zagwizdaj, nie bój się, ściany są izolowane.

Zagwizdałem jej „Chłopców z Albatrosa“, „Błękitne niebo“. Gwizdałem może piętnaście minut.

— A umiesz tańczyć?

— Nie.

— Dlaczego?

Zrobiłem się dla niej trochę nieinteresujący, ale uśmiechnęła się i powiedziała:

— No, teraz możesz pracować.

Podawała mi rękę. Jak dobrze to dziś pamiętam. Co robisz po tylu latach Olgo?

Teraz byłem na prawach wyjątkowych. Nawet naczelnik obozu nie mógł mnie usunąć łatwo.

Zapomniałem, że ona już weszła, a za nią Grisza. Grisza prycha, kaszle, ma czerwoną twarz. Więc ja zaczerwieniłem się, że oni idą do tego członka. Myślę: — Dobrze, że nie muszę tam być. Ale ona mówi:

— Może ty pójdziesz. Ty byłeś w karcerze? No to dobrze.

Pójdziemy.

Ona jest w walonkach, przyjemnie ubrana. Idziemy w stronę śniegu, który jest jak jedwab. Ona pyta:

— Czy to prawda, że zwolniłeś pijanego?

— Prawda. Ale on był z milicji. Zastępca naczelnika.

— Powinieneś bardzo uważać.

— Jak mam uważać?

— Słuchaj, ty nie jesteś u nas długo. Sowiecki człowiek wie, nawet w obozie, jak się zachować. A ty nie. Chcesz pracować w szpitalu?

— Chcę, tylko...

— Ja wiem. Tylko nie będziesz mógł... Tak?

— Tak.

— No to zostań w ambulatorium. Tylko nie rób idiotyzmów.

Dobrze, że o tym pijanym powiedział mi Fied'ia.

Dmie znad Wołgi.

— Czy to prawda, że wolna siostra Natasza ma się ku jakiemuś Ze Ka?

— Prawda. Wszyscy o tym mówią. Że to odbywa się na stole w ambulatorium. Na bardzo niewygodnym...

— Dość. Mówmy o czymś innym. Będę musiała zwolnić Buehlera.

— Dlaczego?

— Rozkaz z góry, że wszyscy z 58... Bardzo go lubiłam. Dość.

Popatrzyłem na nią. Dziewczyna z liceum w szkolnym płaszczu. Granatowy z futerkiem na brzegach. Z kołnierzem barankowym. Tylko na głowie skórzana czapka na uszy. Skośne, niebieskie oczy.

— Aha, asenizatorzy sprawują się dobrze? Podczas twoich

dyżurów?

— Dobrze. Teraz jest... — nie wiedziałem jak po rosyjsku powiedzieć „kał“ — zamarznięty i tylko trzeba go odrąbywać.

— „Gówno“, chciałeś powiedzieć.

— Tak.

— Ja nie mam czasu chodzić do latryn. Polegam na tobie. A baraki 132, 133 zostały wygazowane?

— Tak. Inwalidzi musieli się skupić.

— Naturalnie, że musieli. Chodzą przynajmniej porządnie do łaźni?

— Niektórym w zimie się nie chce. Uzbegy marzną strasznie.

— Niech marzną, ale muszą. Powiesz dziennemu dyżurnemu.

— Oni dostają po łaźni często zapalenia płuc.

— Niech dostają. U mnie nie śmie być wszy, ani pluskiew.

Inwalidzi, którzy nago marzną w łaźni. Czekają na ubranie w dezynfekcji. Czują, że mam jakieś zastrzeżenia.

— Czy ty myślisz, że mnie nikt nie pilnuje? I tak powinno być. Ja mówię tak z tobą, bo ty jesteś zachodni.

Podeszliśmy pod wrota karceru, które się elektrycznie otworzyły. Naczelnik:

— Melduję, że Achmatow odmówił pójścia do pracy i przybił sobie...

Ona machnęła ręką:

— Prowadźcie.

Ponura cela, oświetlona żarówką. Z judaszem. Ten Achmatow — brodaty chłop. Potężny i chudy.

— No Achmatow, co ty wyczyniasz?

Achmatow milczy, kiwa głową jak wahadłem. Porusza

grdyką. To nie jest kanciarz, ooo, nie.

— Achmatow, obywatelka naczelniczka...

Olga przerywa karcerowemu. Widać, że Achmatow jest jeszcze nieprzytomny z myślenia. Że myślał całą noc. I jeszcze wiele innych. I przybił sobie. Groźbami nic się nie wskóra. Dałby się posiekać. Mruga oczami. Ona wskakuje na pryczę, na drugie piętro. Siada obok niego. Mówi karcerowemu:

— Wyjdź!

Po tym bierze do ręki jego olbrzymią głowę. Przystaje nią kiwać, jest zbudzony. Patrzy na nią nieprzytomnie. Ona mówi:

— Jak ci nie wstyd?

On zakrywa czołonek ręką.

— Za co tu siedzisz?

— Pajdkę chleba skradłem. Nie chciałem wyjść do pracy.

— No, wyciągnij ten gwóźdź.

On wie, że jak wyciągnie to wszystko się zacznie od początku. Ona, zgadując myśli, pyta:

— Na jak długo?

— Trzy lata. Kułak, kułak.

— Jak długo siedzisz?

— Dwa lata.

— Durniu, za rok wyjdziesz.

Ale w nim jest chłopski upór. Ona dodaje:

— Ja sama wyciągnę.

On chwyta prycze w dłonie i zaczyna ryczeć. Nie z bólu. Prycza trzaska pod jego rękami. Ryczy jak bawół. Ona tymczasem wyciąga gwóźdź. Patrzy jak bardzo zranione jest miejsce. Potem zeskakuje z pryczy. Do mnie:

— Zrób opatrunek.

On dalej ryczy, aż karcer się trzęsie. Ile miesięcy jego

powolnego buntu poszło na marne. I bezcelowego w gruncie rzeczy. Olga woła:

— Achmatow! Milcz!

Achmatow pierwszy raz patrzy na nią przytomnie. Spojrzenie jego mięknie. Zaczyna płakać bezgłośnie. Ona mówi:

— A następnym razem tylko milicja ci pomoże! Achmatow!

— Pamiętaj!

I wychodzi z celi. Nie, wraca.

— Zajodnyj mi...

Pokazuje trzy palce głęboko zranione. On postarał się aby gwóźdź był dobrze wbity. Zrobiłem opatrunek i wychodzę. Ona mówi do karcerowego:

— Ja już sama z milicją...

Potem wychodzimy na śnieg. Marszczy dziecinnie czoło:

— Przynieś mu sulfamidy.

Interesują ją nadal asenizatorzy. Czy dostają mleko? Nawet nurkowie nie dostają mleka. Jest stado krów w naszym miasteczku-obozie. Elektrownię znów pokryły mgły. Już jest 9-ta. O 9,30 — przyjęcia, dla zwolnionych i nocnych brygad. Przechodzimy koło baraku stachanowców. Złudzenie? Gramofon. I Scherzo Mendelsohna z Flierem. Postanowiłem tu wrócić jak będę miał czas. Ale nie miałem go nigdy. Więc nie dowiedziałem się, czy to była halucynacja. Znów zadymka, ale taka, że się nie widzi na dwa metry. Wróciła do ambulatorium, jak lalka: czerwone od mrozu policzki, biała skóra, usta nieprawdopodobnie purpurowe. Wróciła do gabinetu, w którym mnie egzaminowała i poprosiła Buehlera. Na drugi dzień już go nie było. Został przeniesiony do wszystkich z 58, których wysłano na etap.

Mamy pięciu internistów i jednego wenerologa. Dentysta jest też. Wania, Pietia i dwóch innych przygotowują opatrunki. Ja i Griszka Nr 2 przygotowujemy lekarstwa. Dentysta służy przeważnie do robienia złotych zębów na przodzie. Jest taka moda, która przyszła z Moskwy. I dostojnicy łagrowi dają sobie robić złote zęby. Na przykład kierownik od żarcia szpitala. Przychodzi kobieta z dzieckiem, aby dać jej wateę. Przychodzi od fryzjera, aby mu dać wazeliny. I trochę spirytusu, który jest tak potrzebny. Denaturatu, naturalnie. Przychodzi lek-pom ze szpitala, aby mu dać kodeiny. Narkotyzuje się i jest bardzo sympatyczny. Robi małe operacje sam. Nawet nieskomplikowaną ślepą kiszkę. Po trzech dniach chory już chodzi. Wtem posłaniec od Olgi, żebym przyszedł. Grzebie się w jakichś statystykach. Mówi, nie podnosząc głowy:

— Był telefon z punktu 126. Coś się stało, tam gdzie pracują Polacy. Najlepiej będzie, jeśli ty pójdziesz.

Znałem punkt 126. Tam była sympatyczna, ciepła chatynka i lek-pom, który częstował zawsze herbatą. I czasem chlebem.

— Ale szybko — dodaje Olga.

Chleb dostawał za zwolnienie od przychodzących na robotę. Miał prawo. Więc biegnę do punktu 126, który był po drugiej stronie Wołgi. Tam, gdzie kopano kanał i miały być śluzy. Daleka droga. Ciągłe szyny kolejowe, rozplatające się jak dłonie. Potem traktor. Ciągnie olbrzymie drzewo. Potem znów szyny. Dużo szyn. Z wagonami. Biegnę i myślę, że nie zdążę dziś do naczelnika obozu. Będę musiał znów czekać tydzień, a każdy dzień jest tu napięty. Wreszcie jestem nad brzegiem Wołgi. Tu kursuje kolejka linowa, która przewozi ziemię. Spieszę się, więc proszę lek-poma tutejszego, aby mi

zorganizował kolejkę. Z hukiem wlatują wagoniki do hali. Przewracają je. Wysypują ziemię. Ja mam też jechać takim. Wsadzają mnie. Rrrrr. Gwałtowne szarpnięcie. Wszystko maleje jak przy jeździe samolotem. W końcu znajduję się nad Wołgą. Wagoniki jadą szybko. Nie są obliczone na ludzi. Przy tym kołyszą się. Trzymam się ścian i poręczy. W górze jest wiatr. Nie oddałem walonek Wani. Przejeżdżam nad elektrownią, wysoko. Gdyby nie było zadymki, to bym się napatrzył. Jestem otulony mgłą. Wtem wagonik staje. To może trwać godziny, jak jest poważna naprawa. Wiszę pośrodku Wołgi. Chcę robić gimnastykę, ale wagonik jest za mały. Można w nim jechać w pozycji embrionalnej. Tylko. Na górze jest wiatr. Zamarznę. Trę sobie policzki. I uszy. I nos. Nareszcie rusza. Tak gwałtownie, że o mało nie spadłem. Robi zzzz i zatrzymuje się w hali. Nie mogę wysiąść. Muszą mi pomóc. Jestem trochę nieprzytomny. Prowadzą mnie do punktu 126. Przed punktem widzę co się dzieje.

Nie dostali łopat. I rydli. Rozpalili ogień. Z przodu jest zbyt gorąco, a z tyłu za zimno. Skakali jak mały. Duże ognisko. Jest zimniej i zimniej. Chciałoby się wejść do ognia. Mój krawiec to zrobił. Najpierw zaczął tańczyć wokół ogniska. Potem wszedł. I zapaliło się na nim ubranie. On dalej tańczył. Płonąc. Elektrownia była nierealna, nakreślona ołówkiem. Tańczył na tle elektrowni swój ognisty taniec. Mały krawiec z miasteczka. Potem lano na niego wodę. Potem zamarzł, jak żona Lota. Nie mógł wykonać ruchu. Ale był ogień. W lodowej skorupie, w ogniu, niczym święty. Spacerował. A cała brygada dostała bzika i wokół niego. Tańczyli taniec. Bum-bum, jak Murzyni. Wchodzę do ogniska i cap za krawca. Przysmolilo mnie trochę. Krawiec, który nigdy nie płakał. Teraz nie płacze

też. Ma skupioną minę, jakby szukał czegoś w ognisku. 126. Dostaję czaj, mój krawiec je śnieg. To lepiej niektórym zaspakaja pragnienie. Wani zabrałem walonki węglem i ziemią. Polecam go opiece lek-poma 126 i wracam. Niech sobie poleży biedaczek. Tu jest ciepło. A brygada tańczy dalej wokół ognia. Znów wsiadam do wagonika, do kolejki linowej i wlatuję z gwizdem do hali. Wypadam z wagonika, jak ziemia. Leżę. Jestem bardzo śpiący i chciałbym tak leżeć. Ale mnie podnoszą. Widziałem maszyny do odmrażania ziemi. Jest 9,30. Muszę spać. Widziałem kobiety na robocie. Kuchcą. Jest trochę jaśniej. Elektrownia jest wyrysowana pastelą. Pani życia. Kanał nie będzie gotowy przed wiosną. I olbrzymie betonowe kafle. Zajmują cały wagon, na którym jest napisane 12 ton. Nikt tego nie podniesie. Chyba amerykańskie dźwigi. Idę, kiwając się, do ambulatorium. Idę zdać sprawozdanie Oldze. Ale już telefonowali i nie potrzeba. Olga mnie zwalnia na dwie godziny. Do baraku. Tam generał mówi o Niemcach. Jest chory. Wokół niego wielu ludzi zwolnionych z pracy. Nie ukrywa swej nienawiści do tej Rosji. Ma „Prawdę“. Nie wiadomo skąd. Naturalnie 58. Ufa Niemcom. Cała nadzieja w nich. Chodzi na chirurgiczny. Robi strategiczne plany. Od razu usypiam. Mam się dziś zobaczyć z wieloma ludźmi. Przez sen myślę, że generała tu już jutro nie będzie.

W obozie ludzie spotykają się, jak meteory. Ludzie mieszani, jak piasek. Jest. Jutro nie ma. I w obozie jest swobodniej niż na swobodzie. Trochę swobodniej. Nie musi się tak uważać. A ile lat się siedzi to prawie nieważne. Dla nas to tylko ważne. Dla nas — Europejczyków.

Za pół godziny wstaję. Muszę. Złazę z mojego 2-go piętra i przemywam oczy wodą. W baraku jest dość ciepło. Zbudowany

z desek, między które nasypuje się piasku lub ziemi. Ciepły i ciemny, co się kojarzy. Zresztą pali się żarówka, która mówi o elektrowni. Staram się wyglądać możliwie. Idę do kobiecego baraku. Myję zęby mydłem. Włosy mi trochę odrosły. Mam polski szynel. Wkładam go. Odchylam nauszники. Z walonek Wani, okazuje się, można zeskrobać sadzę. I niosę prezent: błękit metylowy, który farbuje na piękny, niebieski kolor.

Kobiety do dwóch miesięcy mogą karmić dziecko. Potem idą do roboty. I w czasie ciąży mają pewne ulgi. Niektóre starają się być w ciąży. Niektóre trują się jodyną. Niektóre wywołują chininą poronienie. Skakaniem, diabli wiedzą czym. Ta, którą mam odwiedzić, poroniła. Baraki żeńskie są otoczone wysokim drutem kolczastym. Wartownik przepuszcza bez trudności.

Wchodzę do baraku. Pierwsze wrażenie: Papużki w klatkach. Są oddzielone kocami. Mają prycze trzypiętrowe. I co za konkurs barw, wycinanek. Jak drzewko. Wielkie wciągnięcie oddechu. Inny świat. Życie nieprzeczuwalne tuż obok. Tylu kolorów dawno nie widziałem. Każda ma małą witrynę. Z papieru, ze szmat kolorowych. Jest tak ciepło, że kręcą się nie bardzo ubrane. Tego bardzo dawno nie czułem, kobiecego świata.

Nie umiem jakoś żyć wśród mężczyzn. Na ogół nie mam znajomych. Najlepiej rozmawia się z kobietami. Z każdej da się wydobyć jakąś historię. Choćby była najgłupsza. A tu nagle, sami, sami mężczyźni. I dotykają. Wytworzyła się warstwa ochronna: Otepienie.

Ta, którą miałem odwiedzić:

— Natasza, Natasza.

Natasza wychyla się z jednej z klatek na 2-gim piętrze i

pyta:

— Co?

Ma na sobie zieloną kombinezkę. Więcej nic. Jest jeszcze osłabiona. Schodzi pomału i uśmiecha się.

Była w ambulatorium pomywaczką i z nią Wania. W maleńkim pokoiku, w nocy. W pokoiku, w którym mogło stać tylko łóżko. Nic więcej.

Więc ona schodzi ostrożnie. Jak dawno nie widziałem ramion i ud kobiet? Nie, to nie jest pożądanie. Tylko, tylko... Już wiem. Uchwyciłem zachwianą równowagę. Renoir. Dégas.

Ona ma 22 lata, chłopięce włosy i zdziwione usta. Podaje prezent. Właściwie nie wiem po co przyszedłem.

— Wania kazał cię pozdrowić. I odwiedzić. I prosił spytać, czy go jeszcze lubisz.

— Lubienie... Serca nikt nie zmieni. Mnie dobrze bez niego. Za to dziękuję. Czy ty wiesz, że mamy dostać nowe koszule? Będzie taka błękitna...

— Mnie pożyczysz na szalik, dobrze? — wysunęła się jakaś głowa z klitki. Całkiem młoda.

— Wania będzie się bardzo martwił. Co mam mu powiedzieć?

— Że... że skończyło się samo.

— Nie chcesz wrócić do nas?

— Nie... Robota była dobra... Ale nie. Bo wszystko zaczęłoby się od nowa. Nie, zresztą ja będę pracować w kuchni.

Tkwiał za tym jeden szewc z Polski. Szewc to była figura. Dwieście kilometrów jeżdżono do niego.

— A więc?

Nie chciało mi się wychodzić.

— Zostań jeszcze.

Różowe światło. Wycinanki w oknach. I kobiety, przeglądające się w szybach. I kobiety, myjące się w balii. Wysuwają się głowy z papierowych zasłon, z rolet przeźroczystych, żółtych (atebryna), niebieskich (błękit metylowy), zielonych (brylant gruen) i czerwonych, które jest trudno zdobyć (czerwona asseptyna). I wstążki. Jak na jarmarku. Tylko kobiety. Myją się. Przebierają. Oczekują kochanków, kochanków możliwych, którzy je zwalniamy od pracy. Zamykam oczy. Pomału otwieram. Jestem chłonny jak gąbka. Wszystkimi porami — wchłaniam.

— A jaki to jest płaszcz.

— Szynel polski.

— Dowiozłeś go tu.

— Dowiozłem.

Wywołuje zawsze zainteresowanie.

— No dzieci, muszę już iść.

Wyszedłem. Dałem pajdkę chleba wartownikowi. Był inwalidą i Kałmukiem. Miał inne zainteresowania. Nie kobiety. Wracalem przez szary świat. Pozbawiony koloru i wpadnięty. Staralem się nie myśleć o papużkach.

Wróciłem na przerwę. Grisza z gorączką. Bandaże porzucane. Nieład. Pusto. Tylko telepie się stara Aleksiewna Pietrowna. Lekarka. Grisza jest chłopiec-rozdropek. Siadam obok niego. Leży na tapczanie, gdzie leżą chorzy.

— No i jak?

— Jak się nazrę, to mi będzie lepiej. Idź do kucharza dziewiątego, tego z jednym okiem, i powiesz mu, że ja, Grisza, leżę chory. I ty się przy tym pożywisz. Idź młod'iec. A jak nie, to tu zdechnę. Tylko żarcie pomaga.

Kuchnia dziewiąta jest blisko. Wchodzę i szukam szefa. Jest. Świdruje mnie jednym okiem. Tracę rezonans. Jeszcze bardziej świdruje. Mówię mu:

— Griszka chory...

— Co?

Udaje, że głuchy. To mu sprawia przyjemność. Podchodzę bliżej:

— Griszka chory...

— Coś tu tak, ale nie tak.

Jeszcze się bardziej zmieszałem.

— Coś tu tak, ale nie...

Podniósł swoją białą myckę i odkrył łysinę ogromnych rozmiarów, z myszką. Potem usiadł i ukazuje to wnętrze, to górę swojej dłoni. Wyraża w ten sposób wątpliwość. Ja po raz trzeci:

— Griszka chory, może jakieś jadło.

Odsunął mnie od siebie.

— Przecież nie jestem głuchy. Słyszałem. Słyszałem. A to się coś wykombinuje.

I dał mi puszkę z mięsem. I makaron kazał zagrzać.

— Na. Griszce polepszenia.

Robi kiks.

Patelnia z makaronem o średnicy metra. Puszkę czuję w kieszeni. Makaron tłusty, przyrumieniony. Griszkę poderwało. Lancetem otwiera puszkę. I całą patelnię. Mruczy, jak niedźwiedź. Kicha. Kaszle. I dalej mruczy. Jak dotarł do połowy patelni, to zamyślił się:

— Tak to, tak.

I ze smutkiem w oczach zaczął dalej. To oznaczało, że dla mnie nic nie zostanie. W sterylizatorze ugotowałem ziemniaki.

Okrasilem tranem. Sól mam zawsze przy sobie. I jadłem.
Grisza spojrzal na mnie i wykrztusil:

— No, przeciez.

Skonczył jeść i musiałem nosić patelnię z powrotem.
Griszka odwrócił się do ściany i śpi. Sanitariusze sprzątaję.
Myją podłogi. Podnoszą bandaże z ziemi. Zamykają pudełka.
Zakorkowują flaszki. Jeden, patrząc na mnie, pije ferrum
p o m a t u m.

— Dobre, słodkie, jak wino — mówi.

Grisza nagle odwraca się, spogląda jednym okiem, potem
buch, śpi.

— Dość, mordo — mówię.

Przestał, popatrzył na mnie:

— Ja na woli elektrotechnik — powiada.

Szoruje podłogę.

— Ja na woli elek...

— To co z tego?

Wybuchą śmiechem.

— Zgadnij na ile mnie zasądziłeś? Zgadnij. Za dwa i pół
metra drutu. A ja jeszcze dołożyłem swojego metra.

Poza tym przewraca gałami.

— Wiesz, ile ja metrów nakradłem?

Oblicza, oblicza.

— Trzy kilometry, może cztery. Sam nie wiem.

I szoruje podłogę.

Zaczynam pomału przygotowywać bandaże, mikstury. Na
różnej wielkości gazy kładę stereotypowe maści. To się robi
tysiącami. Przychodzi Pietia. Robi to samo, co ja. Potem
Wania. Przygotowuje lewatywę, próbówki do opadania krwi,
sterylizuje strzykawki. Na morfologię. Analiza moczu.

Schodzą się lekarze. Cztery kobiety. Zaczyna być gwarно. Lekarze wypisują zlecenia na skrawkach papieru. Potem chory przychodzi do mnie. Ja mu robię to i owo. Nauczyłem się robić opatrunki szybko i żeby nie spadły. 300, 400 opatrunków w ciągu wieczora. To jest coś. Wania robi byle jak. Podłogi wyszorowane. Wszyscy w białych kitlach. Jak toreadorzy. Tam, w poczekalni, szum, gwałt, kłótnie, bójki. Grisza śpi.

— No — mówię — wstawaj do roboty.

Olga przechodzi przez poczekalnię. Poczekalnia uspakaja się, jak morze. Potem znów pryska do góry. Idę do Anny-lekarza, aby zwolnić jednego. Aby go posłać do szpitala, że niby ma świerzb.

— Dobrze — powiada.

Jest to mała i młoda. Skończyła przed miesiącem akademię medyczną. Nie dużo umie. Jest pełna najlepszych chęci. Ma śliczne walonki.

— Już na mnie czas — mówię.

Wracam. Olga wchodzi do nas.

— Wszystko w porządku?

— Tak, tak. Otwierać drzwi.

Wpada hurma. Jak byki. Grisza:

— Tylko z kartkami, tylko z kartkami.

Teraz zaczyna się robota błyskawiczna. Bandaże na pachwinę. Adonis vernalis. Środek rtęciowy na opuchliznę. Digitalis tylko leżącym. (Ci co twierdzą, że leżą). Różne rozmiary bandaży. Ung. Hydr. Prec. Albi. Zamiast jodyny, brylant gruen. Czasem sulfa. Rzadko szpital. Odmrożenia. Gnijące palce, nosy. Lewatywa. Zastrzyk arsenu. „No, spuszczaś spodnie“. Zanim tamten, robię dwa opatrunki. Sanitariusze gotują strzykawki. Uwaga, zastrzyk dożylny. Na

szczęście ma żyłę. Trafiam z łatwością. Opatrunek-czapka. Z bandaży. Cuchną ciała. Pot. Lewatywa znów. Ten myśli, że to się bierze doustnie. „Spuszczaj spodnie“. Patrzy na mnie zdziwiony. Nie wie, co mu chcę zrobić. Równocześnie robię opatrunek łokcia. Łokieć i kolano. Żeby się trzymało. Przez cały dzień pracy. Tego z lewatywą muszę uczyć pozycji na boku, kolana zgięte. Opadanie krwi. Nakręcam zegar. Wbiega kobieta i ryczy. Trzyma się za brzuch. Z nią Wania. Dalej ryczy. Robię bandaż stopy. Najczęściej otarcia. Dalej ryczy. Wania pantopon. Mówię: — Zaczekaj. Ale Wania już. Bizmut na biegunkę. Nic nie pomaga. Poznaję pismo Anny-lekarza. Ta, która ma posłać na wagary. Daję do picia rivanol. Ferrum p o m a t u m. Ulubiony napój chorych i zdrowych. Po starych bandażach się już chodzi. Coraz to bardziej czuć ropą. Wyciągam z karbunkułu czop. Parametritis. Odsyłam do wenerologa. Pod koniec jest się zac zadzonym. Karbunkuł duży, jak dłoń. Potem jodynuję. Podskakuje do góry, syka. Za to robię bardzo ładny opatrunek na tyłku. Załatwiony. Tymczasem coraz mniej widać, coraz bardziej czuć. Grisza wymiotuje. Kurza ślepotą. Dajemy dużo witamin z jodeł. Tak trzy, cztery, pięć godzin.

W międzyczasie widzę pana, starannie ubranego. Czeka. Chce czopki i chce, abym go odwiedził. Jeszcze dziś. Barak techników Nr 226. Mówi inaczej po rosyjsku. Prawdopodobnie lepiej. Żegna się.

— Mam nadzieję, że jeszcze dziś poczęstuję pana herbatą. Zapewniam, że jest dobra.

Zabiera swój wyjątkowo porządny kociołek. Kłania się. To rzecz niezwykła. Zakrywa go znów tyłek proszący. Zapamiętuję pana. Zwykle poznaję ludzi po częściach ciała.

Zapalają światło. Czuję, że moje ręce robią skomplikowane ruchy. Precyzyjne nawet. Ambulatorium jest pełne oparów, smrodu. Chciałoby się położyć na bandażach i usnąć. Byle spać. Nie ma się nawet siły do krostowatych, opuchłych, śmierdzących. Do porwanych i żółtych. Jeszcze jeden i jeszcze i jeszcze. W końcu Wania zamyka drzwi i mówi:

— Dość.

Grisza natychmiast kładzie się na kozetkę. Mówię:

— Posuń się.

Leżę i myślę. O tym, jak to było w obozie leśnym. Było bez porównania ciężiej niż tu. A jednak. Chodzili pod latrynę zbierać główki od śledzia. I ssali je. Do szpitalika nie można było wejść. Tak cuchnęło sześciu chorych na flegmonę. Nie było sulfy. Byli beczkowaci, coraz bardziej puchły kończyny. Przypominało elephantiasis. A jednak. Zwłaszcza jesienią. Wpadłem do jamy w lesie na bagniskach. Psy mnie odszukały. Nie mogłem złapać kierunku. Tonąłem w błocie. Potem przyszły mrozy. Zrywałem owoce dzikich róż. Były słodkie. Bałem się, że zapomnę jak się nazywam. Zapisałem sobie na korze brzozonej. Poprzednio spytałem kilku znajomych: Jak się nazywam? Ich odpowiedzi były zgodne. Z wyjątkiem jednej. Korę nosiłem przy sobie. Ludzie pili słoną wodę litrami. Puchli i byli zwolnieni. Ale umierali często. Na ostre zapalenie nerek. Już, już wstaję. Idę do baraku techników. Pan mieszka na drugim piętrze. Zauważa mnie.

— Zaraz proszę. Nie mogę pana przyjąć. Muszę włożyć czarne ubranie.

I zmienia szare ubranie, związane sznurkami, na czarne. To czarne jest bardzo stare. Pan ma lat sześćdziesiąt i jest w jego zachowaniu jakaś inność. Przedstawia się:

— Jestem Igor Aleksandrowicz Jasienin.

Potem zaprasza mnie na górną pryczę. Przygotował keksy z serem. Biegnie po gorącą wodę. Zaparza czaj. Grzebie w kieszeniach czarnego ubrania (które okazuje się smokingiem) i wyjmuje małą fotografię:

— Oto moja mamusia.

— Gdzie mieszka?

— W Leningradzie.

— Czy żyje?...

Przestraszona twarz, że mogłaby nie żyć.

— Żyje, żyje, chwalić Boga.

Nagle przejście:

— Ja nie miałem kobiety w swoim życiu. Czytałem „Śmierć w Wenecji“. To ostatnia książka, jaką mogłem dostać. Wasili ze szpitala zdradził mnie. Pamiętam... pamiętam, gdy byliśmy razem w łaźni. On ma takie ładne ciało. Wtedy nie był lek-pomem. Dopiero potem, gdy ja prosiłem za niego. Inteligentny chłopak. Ma maturę.

— W jakim języku czytał pan...

— Po niemiecku. Znam też francuski. Rozmawiamy po niemiecku.

— Co pan tu robi?

— Dostaję kocioł szpitalny, uprawiam w lecie ogródek. Poza tym nic. Ale teraz ma się zmienić naczelnik obozu. Przyjdą ciężkie czasy. Bo on mnie nie zna.

Milczenie.

— Słuchaj, chłopcze... Czy... czy nie znalazłby się chętny? Może ty? — Zaprzeczyłem głową.

— A inni?

— Spróbuję.

— Bardzo proszę. Ja nie miałem w życiu kobiety.

Zaczął opowiadać o przyjęciach z poprzedniej wojny u księżnej Czerkaskiej... I tam grał na fortepianie mały chłopak, syn księżnej.

— To on zdaje się występował w Polsce...

— Tak??

Zamyślił się.

— No, ja muszę iść — powiedziałem. — Mam dziś dyżur nocny. Aha, czy uważa pan za możliwe zdeformowanie stosunków w Rosji?

Namyślił się.

— Nie.

Pauza.

— Nie, nie. Wiem o co panu chodzi. Tak, jak Kafka. Nie wyobrażam sobie. To jest kraj wymyślony. Można deformować tylko to, co istnieje. Wymyślonego nie da się deformować.

— A pan istnieje?

— Z punktu widzenia teorii poznania — nie. Z punktu widzenia „zdrowego rozsądku“ — mało, zaledwie zarys cienia. Ci wszyscy ludzie — zrobił gest ręką — nie zdają sobie sprawy z tego, jak mało istnieją...

Milczenie.

— A o co chodzi?

— Jak wyjdę kiedyś na wolność...

Machnął ręką.

— Opowiem panu zdarzenie. Pracowałem na północy, przy statystykach. Odbierałem telefony: że taki a taki odcinek kolei został zrobiony. Układałem raporty i na podstawie tych raportów wysyłano zaopatrzenia. Pewnego razu komisja z Moskwy. Oglądali obozy. Okazało się, że od roku w

dwudziestu punktach nic się nie robi, że w ogóle nie ma żadnej kolei, że jest tylko tundra, a w tundrze obozy z ludźmi, którzy od roku śpią...

— Ja muszę naprawdę iść.

— W takim razie, dobrej nocy. Proszę pamiętać o mojej prośbie.

Zlazłem z pryczy. Na pierwszym piętrze siedział człowiek, któremu Igor Aleksandrowicz, przechyliwszy się, powiedział: „Dobry wieczór, inżynierze“.

Wyszedłem z baraku.

Wieczór. Znów wiatr znad Wołgi, który uspokoi się nazajutrz. W różnych kierunkach biegają ludzie. Nie widać twarzy. Kulają się. Bronią się przed mrozem. Jak bezbronni są. Trą sobie w biegu nos, policzki. Zatykają się szmatami. Tylko oczy, aby nie upaść.

Im bardziej zbliża się pora wyjścia na pracę, tym bardziej jesteś sam. Potem zamknięty z własnym losem. Oczy w oczy. Idziesz, jak w szklanej kuli. Nikt, jeśli upadniesz, nie pomoże wstać. Ty drugiemu też nie. Nie masz zbędnych sił. Ani niezbędnych.

Wstępuję do latryny. Tu parują żywi. Starają się nie odmrozić tyłka. Ale nie zawsze to się udaje. Szewcy pracują dzień i noc. Krawcy też. Czarnopracujący stoją na apelu. Czwórkami. Nie zgadza się. Stoją dwie godziny. W końcu wynoszą chorego, który upadł w latrynie. Inwalidzi sprzedają pomarańcze. Za pajdkę chleba. Uzbegy. Dostają paczki. Wszyscy chodzą szybko. Z jednego baraku w drugi. Jak najszybciej. Robią postoje. Brygada idzie się kąpać. Rezygnuję ze spotkania z naczelnikiem policji. Ma własny pokój i

sprowadza kobiety. Mam mu dać cywilne spodnie. Jeszcze z Polski. Rezygnuję z naczelnika łagru. Baraki się zataczają. Widzę jaskrawe światło ambulatorium. Mam dyżur nocny.

Grisza śpi, Wania śpi, Pietia śpi. Ja też usnę na kwadrans. Sanitariusze sprzątają, jedzą witaminy. Nie zwracam uwagi. Olga poszła do domu. Jeszcze dziś siedzi Buehler. Wenerolog przyjmuje jeszcze kobiety. Zасыpiam przerywanym snem. Przychodzi jeden, ma temperaturę. Zwalniam. Przedtem muszę zapisać do księgi. Dodaję parę kresek, żeby lepiej wypadło. Przychodzi drugi. Temperatura. Trzeci, czwarty, dwudziesty, sześćdziesiąty pierwszy — wszyscy mają niewielką temperaturę. W końcu rozbieram jednego do naga. Pcham termometry gdzie popadnie: w usta, pod pachę, w odbył. Czasem symulują. Lokalne zapalenie w ustach i mają temperaturę. Albo w odbyciu. Albo pod pachę. Oglądam te miejsca. Mają znajomych w szpitalu: zastrzyk mleka. Rana, która cuchnie naftą. Niegojąca się. 167 chorych zwolniłem. Jeszcze nigdy. Zbliża się ósma. Zamykam. Tylko nagłe wypadki. Moja księga idzie do Buehlera. Po pół godzinie wraca. Spokój. O jedenastej budzą się Wania, Grisza, Pietia. Sanitariusze poszli spać.

Wania przeciąga się i mówi:

— Może by my się czego napili? Pietia?

— A czego?

— Denaturatu, naturalnie. Ale go będzie trzeba troszki przesączyć.

— Sącz.

— Już idę.

I leży.

— Ale na ząb coś położyć, to także warto.

— Warto.

— Więc?...

— Grisza, marsz do kuchni.

— Ja mam gorączkę.

— Symulujesz bracie, zdaje ci się tylko. Marsz. A ty, Pietia, zabierz się do sączenia. Tylko trzeba będzie zrobić pięć sączków. A zresztą ja mogę pić niesączony.

Cisza.

Wrzeszczy:

— Ja wam sukinsynom zęby powybijam, powieszę...

Teraz nie należało żartować. Pietia zabrał się do sączków. Grisza — do kuchni.

— A ty — ty do mnie chodź.

Niby ja. Zupełnie zmieniając barwę głosu, prawie pieszczotliwie:

— Co z Natią?

— A nic. Kazała ci się kłaniać. Powiedziała, że więcej tu nie przyjdzie.

Chwila ciszy. Zupełnej ciszy. Mówię:

— Masz walonki.

— Nie będą mi potrzebne. A płaszcz, ten twój granatowy pożyczysz mi?

— Tak.

— Tak.

— No, to dobrze.

Zamknął oczy. Udaje że śpi. Minuta, dwie, trzy. W końcu:

— No to kurwa.

I już nie udaje. Patrzy w powałę. W milczeniu Pietia cedzi denaturat. Przez pięć sączków. Czas się wlecze. Wraca Grisza:

— Będzie za pół godziny.

Spirytus kapie, kapie. Nikt nic nie mówi. Wania patrzy w powałę. Grisza kładzie się na podłodze. Ja też. Pod głową fufajki. Grisza wstaje, wychodzi do kuchni. Spirytus kapie. Wania patrzy w powałę. Jakby czegoś szukał. Wania:

— Ile tego będzie?

Z drugiego pokoju:

— Jakie trzy litry.

I znów cisza. Wchodzi Grisza. Niesie kartoflane łątki i konserwę mięsną. Zrywamy się wszyscy. Trącamy się. Jemy z patelni. Popijamy spirytusem. Trzeba umieć pić spirytus. To jest łatwo. Przed wypiciem robi się wdech. Wania pije, że aż strach. Z szklanki. I żre. My też żremy. Wania, zwracając się do mnie:

— Jaka szkoda, żeś ty Żyd.

Żre dalej.

— Aleksiej nie-Żyd, a drań, Stepan nie-Żyd, a do d..y, Sieroża nie-Żyd, a drań, Kossowski nie-Żyd, a drań, tyłu, tyłu jest drani.

Żre dalej. Wania, z pijacką czułością:

— A ty jesteś Żyd, Żyd, pomyśleć tylko, o Boże...

Kiwa głową i wzdycha. Pietia ośmiela się, pod wódką:

— Ja raz wykończyłem jednego parcha...

— Milczeć. On jest przecież trochę Żyd. Zresztą, to mnie nie obchodzi. Pożyczasz mi granatowy płaszcz?

— Tak, już mówiłem.

— Idę do babskiego.

— Zamknięty w nocy — mówi Grisza.

— Nic nie szkodzi przeleżę przez druty.

— Druty bardzo wysokie.

— Przeleżę. Zresztą, co wam do tego?

Żre dalej, popija spirytusem. Wania.

— Dajcie bracia eteru, nie z waleriany, czyściuteńkiego eteru.

Grisza wstaje, podaje dużą flaszkę. Wania z lubością wacha. Potem pije. Wstaje nagle.

— Czy dobrze chodzę?

— Dobrze. Ale milicja, ani chybi, cię zamknie.

— Ja wdziewam granatowy płaszcz i idę. Idę wprost na druty.

Grisza ukradkiem pokazuje, że Wania zwariował. Wania pod nosem:

— Pomówię, pomówię, uhołubię.

Uśmiech się wałęsa po jego szerokiej twarzy. Wdziewa mój płaszcz. Ostatnie słowo:

— ...uhołubię.

Znika. Teraz ja:

— No, marsz spać, dzieci.

Godzina druga, trzecia, czwarta. O czwartej wchodzi Olga, naczelnny lekarz okręgu, dwóch ludzi z N.K.W.D. Olga do mnie:

— Ilu zwolniłeś ludzi?

— Sto sześćdziesiąt siedem.

— Nie wiedziałeś o szczepieniach przeciw-tyfusowych?

— Nie.

Olga mówi coś do ludzi z N.K.W.D. Jeden z nich:

— Pójdźmy przecież.

I musiałem z nimi łązić po wszystkich barakach, gdzie znajdowali się zwolnieni. Olga zabrała termometry. Chorzy mieli teraz o wiele wyższą temperaturę. To mnie uratowało. I Olgę też. Ten drugi, milczący bełkotał coś o sabotażu. Potem

weszli do gabinetu Olgi. Przyszli po spirytus. Pomyślałem: „Już dobrze“.

Naczelnny lekarz okręgu powiedział:

— Gorączka po szczepieniach nie jest chorobą. I nie masz prawa zwalniać.

Wyszedł. Olga już nie poszła spać. Boczyła się na mnie. Musiałem obudzić Pietię, żeby dyżurował za mnie. W końcu zagwizdałem jej, w gabinecie izolowanym, szlagiery, wybijając rytm dłonią, palcami. Wtedy przestała się boczyć. Powiedziała:

— O mało mnie nie zamknęli. I mieliby słuszność. I dostałabym 58. Byłoby za ciebie. A teraz się wynoś.

Położyła się na biurku i usnęła. Ja za to nie spałem, mimo, że Pietia. Leżałem na podłodze, tak jak Wania, z szeroko otwartymi oczami. I myślałem. O tym, również, jakbym odwiedzał Olgę w kobiecej części obozu. Że Wania tam poszedł na druty. I tak dalej.

Wani nie znalazłem podczas wizyty w karczerze. Może gdzieś po pijanemu usnął. Może go Natia przytuliła. Może wstąpił do nieba, ponieważ tak mało istniał.

Defilada w ciemności. Jakiś przewód się zepsuł. Widać tylko zarysy idących. Wznoszą się, im dalej od bramy. Elektrownia żarzy się. Ma wszystkie cechy boskości. Nawet utopiła 50.000 ludzi, gdy zerwała się tama. Módl się za nami! Przebacz nam, jako i my nie przebaczymy naszym winowajcom! Tuż obok jest godzina śmierci naszej. HUUU!



Tekst udostępniony jest na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#).

WAADI

Dla Bibika

Zagęszczenie śmierci w kraju, który zamieszkuję, jest nieprawdopodobne. Ludzie, sami żywi, promieniują swoimi zmarłymi. Ludzie, nosiciele śmierci, jak kamyki rzucone na wodę, rysują koła rozchodzące się, wpadające na siebie... Ja też jestem takim człowiekiem. Jasne, że moja opowieść jest śmiertelna.

Chcę opowiedzieć o dalekim miejscu w Uzbekistanie, gdzie królował pułkownik K. na wysokim pagórku, na kurwiej górcie, jak mówiono. Ta górcza miała sprawiedliwą nazwę: nie bójcie się. Chcę też powiedzieć o dolinie wapiennej. Na dnie pełzła jadowita rzeczka, z której przynoszono wodę.

Przeszedłem tyfus i biegunkę, której nie dawano nazwy. Profilaktycznie. Wszyscy mieli biegunkę. Nawet najpiękniejsze dziewczęta. Sprawdzało się to mimo woli w latrynie. Zależnie od talentu erotycznego podcierały się kartkami z Lenina, kamieniami, albo w ogóle nie. Chwiałem się z osłabienia. Ale unikałem słońca, bo było gorsze niż dżuma. Wznosiło się jak jastrząb w miarę wzrastania lata. Pięło się coraz wyżej. Sępy krążyły nad miasteczkiem.

Wyrosła mi czarna duża broda. Zobaczyłem ją w zupie.

— Wyglądam jak beduin — powiedziałem do sanitariuszki. Była ze Lwowa. Tam beduin znaczy Żyd. Zmieszała się.

W tym czasie Emil, którym później opiekowałem się trochę, zgłosił się do lekarza. Robił krwιά, więc odesłano go do szpitala. Tam czekał dwie godziny. Ewidencyjny od trupów, przy świetle księżyca, zapisał go i dał Andrzejowi skierowanie. Ewidencyjny od trupów poszedł spać, bo był pijany. A może nie był. Sanitariusz Andrzej zaprowadził go, świecąc lampą, do jednej z sal meczetu. Powiedział do kilku splątanych ciał:

— No, rozsunać się.

Ktoś zawołał:

— Dokąd? Za ścianę.

— Stoi człowiek. Musi leżeć. Musi być miejsce. Kładź się pan. Oni się już rozsuna.

Emil, który miał wątpliwości:

— Ale tu nie ma chorych na tyfus, co?

Andrzej, który miał do czynienia z wieloma bredzącymi, mruknął:

— Naturalnie, że nie.

Jedno ciało na podłodze ucieszyło się:

— Właśnie, że tak. Sam tyfus, idiota.

— Panie, ja mam sraczkę, żaden tyfus.

— Kładź się pan.

Popatrzył jeszcze raz na kartkę:

— Naturalnie, że tyfus.

— Ja się nie kładę. Zarażę się.

— Kładź się pan.

Emil szturchnął Andrzeja i wybiegł na podwórze.

W tej chwili zobaczyłem kogoś biegnącego w koszuli sięgającej do pępka. Nie poznałem go. Za nim trzech sanitariuszy. Wszystko to pod niebem wygiętym jak szklany dzwon.

W ten sposób Emil został u nas. Niebo było rozpalone do białości. Kwiaty z ognia chwiały się na białej ziemi, popękanej, jak wargi w gorączce. Kał zaczynał się powoli gotować w cynowych nocnikach.

Emil spał. Czterdziestu dwu ludzi leżało na ziemi, tak, że nie wszyscy mogli równocześnie leżeć na plecach.

Ich pot parował. Ich bulgotania, jęczenia, charczenia i chrapania. Ich ręce mieszały się. Oddechy też. Sanitariusz Andrzej nie podnosił nawet głowy, gdy ktoś wołał:

— Basen!

W półśnie myślał:

— Niech srają, niech utoną w gównie, niech zdechną, niech się to wszystko razem zapadnie.

I oni srali pod siebie a kał wysychał szybko: zjadały go muchy.

Emil spał. Siódmy dzień gorączki: 41° do 42°. Mówiłem z dr. Wilczkiem. Ten powiedział:

— Panie, co pan sobie myśli? Egzantemy nie ma. Próba Weila minus. Malaria minus. Brucellosa? Zresztą jak się tu robi analizy. Dziś umarł dwudziesty szósty lekarz.

I odszedł z nowym podręcznikiem chorób tropikalnych. Na głowie Emila ktoś trzymał rękę. To dusiło — więc powiedział:

— Staszek, jak nie weźmiesz ręki...

Po kwadransie:

— Staszek, weź rękę.

Ja leżałem z drugiej strony. Powiedziałem: — Staszek nie żyje — i zdjąłem rękę. Zawołałem Andrzeja. Potrwało to trochę zanim go zabrali. Emil usnął. Bełkotał. Po chwili obudziłem go:

- Zupa!
- Mam ją gdzieś. Daj spać.
- Już szósty dzień nic nie jesz, zdechniesz.
- Zdechnę.
- Nie wolno ci.

Milczenie.

- Daj mi.
- Karmiłem go. Zjadł pięć łyżek.
- Dosyć, wymiotuję.

W południe przysłała Ewa. Była brązowa, wychudzona, upudrowana. Prawie że ładna, ubrana starannie. Był jej wdzięczny, że wygląda trochę podobnie do siebie.

Była jego dziewczyną. Ale to nie jest proste.

Ona uważała, że kocha Pawła, który był oficerem. Do niego wchodziło się przez okno, po drabinie. Leżał luźniej i umierał na gruźlicę. A spała z Jareckim, kwatermistrzem.

Żony sowieckie były wygodne dla żołnierzy. Staraly się być koło nich. Jak który zachorował, to przynosiły mu co mogły. Wpijały się w nich, żeby tylko nie umarli. Wtedy zazwyczaj przestawały być rodziną wojskową i cały wyjazd z Rosji nie był pewien. Ewa postanowiła wyjechać z Rosji.

- Przyniosłam ci wino. Czerwone.
 - Czy mam dużą brodę? Skąd wzięłaś wino?
 - Spałam z Jareckim.
- Jej oczy były zupełnie puste.
- Muszę już iść.
 - Do Pawła?
 - Tak.

Poszła.

Kobiety potrzebują za wszelką, ale to za wszelką cenę czułości. Zobaczyłem to dokładnie dopiero teraz. Zachowują się jak koty. Gdy nie są głaskane — opuszczają ogony. Miauczą potem. Wreszcie zaczynają się ocierać o stołek. Ten stołek ożywia się czasem. Mogłyby bez tego umrzeć. Dla Ewy był stołkiem Jarecki. Stołkiem, na którym stał cukier, wino i tłuszcz.

Poza tym spółkowały dla zapomnienia się. Nie „zapomnienia”. One usiłowały zgubić się. (Mężczyźni nie umieli tego). Nie należy ich surowo sądzić. One odgradzały się przez spółkowanie. I odradzały. To jest bardzo dziwne.

Więc Ewa poszła do Pawła. Gdy wchodziła na drabinę miała zagubioną, napiętą twarz. I przynosiła mu tu swoje siły, na to miejsce z pewnością straszne. Czy potrafiłaby to robić, gdyby spędzała inaczej noce?

Podciągnęła się i skupiła, jak do skoku. Jej „dzień dobry” było pogodne.

Wąskokościsty delikatny chłopiec. Trochę dziecinny, trochę bardzo stary. Biały. Nie golił się, bo nie miał czego. Ogromne fioletowe oczy. Nos wąski i chrapy drgające. Dziecko skazane od urodzenia. Uśmiechnął się. Więcej nie mógł.

Ona przyniosła mu siebie całą, nieuszkodzoną, nienapiętnowaną. Ofiarowała mu siebie z uśmiechem, jak na tacy. Z całą swobodą, z zaprzeczeniem rzeczywistości. Jakimś kobiecym sposobem oderwała się od tego, co otacza. Przyniosła mu siebie, świeżą jeszcze i pachnącą. Powiedziała „dzień dobry” i usiadła na kocu. Chłopiec i dziewczyna na wycieczce. Potrafiła być gdzie indziej podczas gdy była z nim.

Wszystko leżało zmiażdżone słońcem. Szpital urządzony w meczecie, kolorowe kolumny rzeźbione w drzewie, mozaika

oślepiająca, chorzy na tyfus, na biegunkę. A na dole sączące się powoli waadi.

Muchy pokrywały leżących — jak aksamitny dywan. Gdy ktoś ruszył nogą podnosiły się z szumem maszyn, z szumem dziesięciu tysięcy trzmieli i opadały. One też spółkowały. Na łyżkach, w czasie jedzenia, w uszach, w oczodołach, wchodziły do ust. Były zwariowane, rozpustne i bezczelne. Królowały na ekskrementach. Dr Wilczek mawiał, gdy siadały na kimś tak gęsto, że nie można było go poznać:

— Stawiają diagnozę lepiej od nas. Moribundus. Czują rozkład o dwa dni wcześniej.

Prorocy w turbanach, o białych brodach, jechali przez słońce jak widma.

Niewiarygodnie chudzi, chorzy na dezynterię, marzyli w groźne południe o cienistych latrynach, o spokoju, aby leżeć i spać w klozetach, aby nie trzeba było tam pełzać pięćdziesiąt razy dziennie, aby nie bolała kiszka stolcowa, aby spacerowały wokół nich duże, piękne skarabeusze, czarno-zielonkawe żuki gnojne, toczące przed sobą, jak lwy w cyrku, kule kału. I mieli jeszcze jedno pragnienie, straszne pragnienie: pragnienie wody, która była zakazana.

Potajemnie, gdy przynoszono ją z waadi, czołgali się do niej, w dzień i w nocy, obłąkani, przylepieni do wiader jak pijawki, pili czystą, brudną, pili trzy, cztery, pięć litrów. Nie zważali na żadne argumenty. Odciągano ich przemocą, bito, czepiali się kościstymi rękami, przenoszono wiadra, odnajdywali je. Na parę godzin przed śmiercią, na czworakach, z opuchłymi nogami, brzuchami, w strasznym pożądaniu marzyli o wodzie, pełzali do niej, śnili, aby była chłodna i przeźroczysta.

Mijało południe, w którym ludzie chodzili jak muchy w syropie. Wieczorem wnoszono trupy w niebieskich siennikach. Ewidencyjny od trupów opowiadał doktorowi Wilczkowi z przejęciem jak pewna wdowa po kapitanie chciała jeszcze raz ujrzeć twarz nieboszczyka męża, a okazało się, że z siennika wygląda Żyd z siwą brodą.

Ale lekarz machnął ręką i poszedł do dyżurki. Był bardzo zmęczony, nie spał trzy noce.

Słońce zaczęło opadać, ukazała się wyschnięta sadzawka na środku podwórza. Ewidencyjny był zdenerwowany. Chciał iść do miasteczka, załatwić potrzeby seksualne, upić się winem. Czekał, aż chory, z którego zostały same oczy, umrze, aby zanotować stan dzisiejszy i kazać go zabrać. Po raz drugi wchodził do sali i pytał sanitariusza Andrzeja:

— Zwłoki gotowe?

Sanitariusz Andrzej spotykał wzrok tego, na którego czekano i odpowiadał:

— Nie.

Więc za piętnaście minut znów:

— Zwłoki gotowe, do ciężkiej cholery?

— Nie.

— Niech to szlag trafi. Idę.

I poszedł.

Na oddziale chorych na tyfus ktoś zaczął szczekać. Słońce zachodziło, niebo było połyskliwe, teatralny księżyc wisiał na niebie. Osły płakały z daleka.

Niektóre siostry, na ogół ładne, robiły się na wyjście. Niektóre mieszkały w meczecie. Myły się. Wszystkie robiły toilette intime. Nigdy nie wiadomo, co noc może przynieść. Szorowały się jak koty, z dziwnymi zapatrzzeniami.

Atak mycia, chwila nieobecności, wolne, nieprzytomne lizanie się, potem nagłe olśnienie. Długo się zastanawiały w bezruchu. Rozplatały papiloty. Ubierały się. Pokazywały sobie nawzajem w małych lusterkach sińce.

Robiły się na wszelki wypadek i robiły się na określony wypadek. Potem przepływały jak okręty ku wyjściu.

W tym czasie Ewa zapukała do dyżurki. Pukała, pukała, aż weszła. Dr. Wilczka trzeba było wyciągnąć ze snu jak z studni. Usiadł i był ledwo przytomny.

— Doktorze, doktorze.

Trochę przerażony, miał przykre sny.

— Czy on umrze?

— Kto, kto taki?

Jeszcze nie poznał Ewy. W końcu zorientował się, że chodzi o Pawła.

— On? On już umiera.

Postanowiła, że będzie umierał przy niej, żeby się nie bał, wtulony w nią. Będzie mu opowiadała bajki. Nie takie, że wyzdrowieje i jak to będzie. Tylko — jak małym dzieciom. Od trzech dni miał krwotok. Był prawie przeźroczysty. To się tak mówi, ale niewiarygodne, jak skóra może być przeźroczysta. Najpierw krwotok zaczął się gwałtownie przez usta, potem nauczył się połykać krew. Zawsze można się jeszcze czegoś nauczyć.

Opowiadała mu bajkę „O Promyku Księżycy”, „O Dobrym Siewcy”, „W jego sercu śpiewał skowronek”. On nie mógł mówić, gdy pytała „opowiadać dalej?” — kiwał dłonią, że tak. I jeszcze, jeszcze.

W końcu leżał na jej prawej ręce, lewą głaskała go, czuła

jego oddech na policzku. Śmierdział trochę. Była bardzo spokojna. To wykraczało daleko poza granicę tego, co wzrusza.

Umierał w czasie nocy miękkiej jak wata, żuki o metalicznych, lśniących grzbietach toczyły bez przerwy kule kału, syte wszy poruszały się sennie, szakale odgrzebywały trupy i krzyczały, osły bardzo płakały. Emil bredził Céline'a: „Porzuci się wszędzie poronione płody szczęścia, żeby śmierdziały po kątach ziemi...”, oddając kał bez przerwy umierało dwunastu ludzi, którzy miauczeli jak koty; ich głos nie był więcej głosem człowieka. Trzynastym był Paweł.

Jedną ręką ścisnął dłoń Ewy, drugą skrobał poduszkę, jak ona w czasie orgazmu. O godzinie jedenastej zaczął drgać gwałtownie, pięć minut potem zaczął śpiewać. Był to śpiew przesycony dygotaniem, o nieokreślonej tonacji, podobny do ksztuszenia się Arabów i do śpiewu szakali.

O pierwszej przyszedł Dr Wilczek.

— Chce pani, abyśmy mu wpakowali kamforę i glukozę? Mógłby tak śpiewać ze trzy dni.

Ewa odpowiedziała:

— Nie.

Myślała o świecie, w którym nie widziała dla niego już miejsca i chciała, aby ta chwila nie skończyła się nigdy. Układała sobie swoje życie w skupieniu, uwadze, a jednocześnie wstawała w niej rozpacz. Chory, który leżał obok, podmacywał ją trochę i ona tego nie czuła; a może zresztą czuła.

O czwartej nad ranem oddech jego zahaczył się o coś, jego śpiew ustał, szczeka opadła. Zobaczyła błyszczące w księżycu zęby i uśmiech — grymas lubieżny, i on leżał już tam, leżał po drugiej stronie, wtulony w nią, prawie usta w usta.



Tekst udostępniony jest na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#).

POWRÓT

Więzienie było przed wojną klasztorem. W podłodze była dziura i do niej należało się załatwiać. Z dziury wyłaziły szczury i łąziły po mnie, gdy spałem. Dostojne i lśniące.

Na ścianie napisy wyżłobione przez różnych ludzi:

„Moja żona żyje z Tłustym”,

„Bug. 6.XII.39”,

„Ja siedziałem tu 7 miesięcy i onanizowałem się 2 razy”,

„Koniec”,

i inne rzeczy. Poza tym był narysowany zadek i różne części ciała ludzkiego. Wilgoć spływała z ścian. Zgadzało się to zupełnie z książkami, które czytałem, mając lat trzynaście.

Leżeliśmy na szerokiej pryczy i było zimno. Handlarz świń, złodziej o bardzo ładnych rękach i człowiek posądzony o morderstwo, wtulali się w siebie, podkurczając nogi, przykrywali się wspólnie. Ja wstydziałem się i nie mogłem: nie mogłem korzystać z ciepła, jakie dawali, bo byli mężczyznami. To był naturalnie nonsens, ale męczyłem się.

Pewnego razu, gdy spałem, handlarz świń przykrył mnie swoim paltem i przysunął się do mnie. Rano powiedział:

— Nie bądź pan kretynem.

Potem, kiedy miałem spać, przytulałem się do chudego studenta, chorego na Basedowa, do kieszonkowca, który bardzo ładnie śpiewał idiotyczne piosenki, i w ogóle do wielu ludzi, którzy śmierdzieli, sapali, cmokali we śnie, jak gdyby ssali

smoczek, gwizdali, pocili się i mruzcili. Ich wszy przechodziły na mnie, moje na nich. Ratowało mnie ciepło ludzkie: sam byłem chudy i anemiczny — dawałem mało ciepła. Nawet, to mnie nie przejęło, gdy pewnej nocy jubiler-gruźlik próbował uważać mnie za swoją żonę. Zresztą zdarzało to się rzadko, bo byliśmy zbyt wygłodzeni.

Rano, gdy wstawaliśmy, handlarz świń odbywał po celi dłuższy spacer, a potem przemawiał:

— Proszę panów, ja wychodzę z domu przy ulicy Długiej, z tego czerwonego, na rogu, i idę sobie spacerkiem prawą stroną, i oglądam sobie wystawy, aż do Prostej, i auta, proszę panów, jadą i trąbią, i psy latają, a ja, proszę panów, wchodzę do tego fryzjera N., mimo, że wcale nie mam takiej brody. Potem woda kolońska, potem idę do klozetu miejskiego naprzeciwko, tam jest taka miła staruszka, i załatwiam się czyściutko, a potem... potem idę jeść.

Przemowa była długo i dokładna. Słuchaliśmy jej bardzo uważnie; zwłaszcza jadłospisu. Kieszonkowiec zawsze wołał — zamiast bułki z szynką — jajecznicę na słoninie. Jubiler nie używał wody kolońskiej.

Pewnego dnia, a był to dzień bardzo zwykły i niespodziewany, wyszedłem z ogoloną głową, dużą brodą, ale odwieszony, na ulicę, i nikt mnie nie pilnował. Powietrze zaczęło mnie dusić, psy biegały, samochody jeździły tam i z powrotem. Mój wzrok był przyklepiony do ruszających się rzeczy. I tak zacząłem pomału, z niedowierzaniem, chodzić.

Potem odnalazłem Ewę.

Wprowadziliśmy się, w podstępny sposób, do pewnego pokoju, którego właścicielka wyjechała wprawdzie, ale mogła wkrótce wrócić. Było tam jeszcze zimniej niż w więzieniu,

rozklekotane pianino, jeden tapczan, dwa słoiki konfitur i pierzyna. Wśród nut, które leżały koło pianina, znalazłem pieśni Schuberta, i uczyłem ją w dalszym ciągu śpiewać „Śmierć i dziewczynę”.

Jest to najdziwniejszy dialog, połączenie miłosno-śmiertelne dwoiste, sięgające samych trzewi. I pod każdym „nie” kryje się „tak”, i spod nienawiści i strachu wypęła miłość. Uczyłem ją więc obłąkanego krzyku dziewczyny, i ona wiedziała, jak ma wołać: „Ruehre mich nicht an, ruehre mich nicht an!” — wiedziała też, jak mówi śmierć. Jej alt musiał być czarno-lśniący, jak rzeka w nocy, uwodzicielski, a na końcu, przechodził w szept, nie tracąc ciemnego błysku, opadał na dno, gdzie splątane, jak kłębowisko żmij, falowały i gotowały miłość i śmierć.

W pokoju było więc bardzo zimno, siedziałem przy pianinie w palcie i rękawiczkach, i nie bardzo mogłem ruszać palcami, mimo że akompaniament był prosty. W końcu zrobiło się ciemno, nie było światła, więc postanowiła, że pójdziemy spać.

Spałem z nią na jednym tapczanie, pod pierzyną. Było bardzo zimno i coraz zimniej. Ona była duża i ciepła, ja byłem głodny i zdechły. Czułem, że wszystko z nią się kończy, pomału, w mrozie, że wszystko kończy się w ogóle. Nie myślałem dużo, byłem otępiały, galaretowa masa, w ogóle nic, flak. Nie spałem, patrzyłem w okno i starałem się nie drapać za bardzo, by jej nie obudzić; to nie było takie łatwe.

Spała spokojnie, oddychała równo, nieświadomie spychała mnie na brzeg tapczanu. Potem, na wpół we śnie, obróciła się tak, że leżała twarzą do mnie, podkurczyła kolana, i czułem jej oddech na policzku. Było niewygodnie ale za zimno, żeby wyjść z łóżka. Byłem zresztą w samej bieliźnie, bo powiedziała

przed spaniem: „Musisz się rozebrać”, więc rozebrałem się — pierwszy raz od dwóch miesięcy.

Myślałem o tym, co opowiadała mi wieczorem, o jakimś Borysie, którego poznała na uniwersytecie, była z nim w pływalni i: „Myślałam, czy wyjechać z nim. Jedzie na uniwersytet do Kijowa. Nie wiem, dlaczego nie zrobiłam tego. To było takie proste”.

Wtedy nagle usłyszałem że coś do mnie mówi. Przez dłuższy czas nie rozumiałem, o co chodzi. Mówiła:

— Podaj mi pieśni Schuberta.

Pieśni Schuberta leżały koło pianina, bardzo daleko, poza tym cała historia wydawała mi się nonsensem. Powtórzyła w wyraźnie tragiczny i trzeźwy sposób:

— Podaj mi pieśni Schuberta.

Wstałem, człapiąc bosymi nogami i trzęsąc się, grzebałem wśród nut. Szukałem jedynych, jak wiedziałem, w twardej okładce. W końcu je znalazłem. Tymczasem wstała z łóżka, w koszuli (nie bała się nigdy zimna).

— Pokaż je.

Oddałem nuty. Podeszła do okna, gdzie było nieco jaśniej. Widziałem jej profil. Pochyliła się, położyła na nuty niewidzialny dla mnie przedmiot i przygniotła go paznokciem. Usłyszałem cichy trzask, którego nie zapomnę. Mruknęła głosem, którym śpiewała śmierć w „Śmierci i dziewczynie”:

— To jest, kochanie, wesz.



Tekst udostępniony jest na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#).

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej [Wikiźródła](#)^[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: [Dzień i noc \(opowiadania\)](#)

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów nie podlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 3.0 Polska](#)^[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. [Przyłącz się do nas!](#)^[3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na [tej stronie](#)^[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Nawider
- Joanna Le
- Kuladam
- Bonvol
- Himiltruda
- Ankry
- Wieralee

-
1. [↑ https://pl.wikisource.org](https://pl.wikisource.org)
 2. [↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl](http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl)
 3. [↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki](https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki)
 4. [↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium](http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium)